

ISSN 1732-6494

№21 kwiecień 2007

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



„Gdybyśmy działali
w tej samej branży,
nie dałoby się
uniknąć porównań
i mogłyby być one
dla mnie bolesne...”

– mówi Antonina TURNAU

- s. 14

miXer

Nr 21 kwiecień 2007

3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

4 Anglicy już sobie z kibolami poradzili...

6 Katharsis, czyli litość i trwoga

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

8 Prekursor modernizmu skandynawskiego

10 W Teatrze KTO

11 Jedna nielegalna kopia nikomu nie zaszkodzi

12 Młodzi zmieniają wizerunek Polski

Kraków od spodu

13 Witajcie: tu eS-eR-eF

Temat z okładki

14 – Gdybyśmy działali w tej samej branży, nie dałoby się uniknąć porównań i mogłyby być one dla mnie bolesne... – wywiad z Antoniną Turnau

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

17 To zawód wyniszczający
– mówił śp. Ryszard Kapuściński

20 Sale pełne widzów

20 „Uwiodłeś mnie Panie, a ja dałem się uwieść”

FeLieTon

Fobia Ludzi Trudnych

21 Barmaństwo spod znaku *flair*

22 Do boju, kobiety

Czarno-Białe

23 I co z tą Polską?

23 Polska, Polska, ja zostaję

Fot. na okładce: Bartosz Kłeczek



redaktor naczelny

zastępca redaktora naczelnego

redakcja

Bartłomiej Misiniec

Grzegorz Makuch

Arkadiusz Drygaś

Joanna Mysińska

Agnieszka Prosta

Anna Pycińska

Roksana Rumińska

Karolina Świerad

Katarzyna Skorupa

Szymon Wróbel

Kinga Zielińska

zdjęcia

dtp i okładka

adres do korespondencji

druk

nakład

opieka redaktorska

Michał Pawłowski

Mateusz Janusz (hussars.pl)

mixer@kte.pl

Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

2000 egzemplarzy

Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)



Bartłomiej Misiniec redaktor naczelny

Apéritif

Miło mi powitać czytelników „Mixera” po świątecznej przerwie. Jak zdążyliście zauważyć, szata graficzna naszego pisma uległa zmianie. Mam nadzieję, że przypadnie Wam do gustu. Autorem projektu jest Mateusz Janusz, student IV roku Politologii KSW, którego jednocześnie pragnę powitać w naszym redakcyjnym gronie.

W tym numerze przeczytacie między innymi, w jaki sposób Anglicy poradzi-li sobie z agresywnymi kibicami piłkarskimi, którzy nagminnie zakłócali przebieg rozgrywek ligowych, oraz w jaki sposób młodzi, czyli my, mogą się przyczynić do zmiany oblicza własnego kraju.

Mam też miłą wiadomość dla studentów rodzimego Wydziału Politologii i Komunikacji Społecznej, gdyż u „Frycza” powstało kolejne studenckie medium – radio internetowe SRF. Obok „Mixera” i studia telewizyjnego Studenckie Radio Frycz ułatwi start i pozwoli zdobyć doświadczenie tym z Was, którzy swą przyszłość pragną związać z mediami.

Tematem przewodnim kwietniowego „Mixera” jest rozmowa z młodą pisarką – Antoniną Turnau, która opowie Wam o pracy nad swą debiutancką książką pt. „Prowincjonalne zagadki kryminalne”.

W dziale KUMulus znajdziecie zaś wspomnienie o „cesarzu polskiego reportażu” – Ryszardzie Kapuścińskim oraz kilka ciekawych recenzji.

W imieniu własnym i całej redakcji pragnę życzyć miłej lektury odświeżonego „Mixera”! ■

Anglicy już sobie z kibolami poradzili...

Sądy 24-godzinne zaproponowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości to krok w dobrym kierunku. Ale to wciąż za mało, by wypędzić plagę agresji choćby tylko poza bramy stadionów...

Tomasz Szelest

Jedynym dokumentem określającym ramy bezpieczeństwa podczas meczów piłki nożnej jest *Ustawa o bezpieczeństwie imprez masowych*. Jednak ona, jak pokazuje przykład angielski, nie jest wystarczającą gwarancją ochrony na meczach derbowych, ale także koncertach i bankietach. Nie podlega dyskusji fakt, że zapewnienie bezpieczeństwa podczas różnych wydarzeń nie może zawierać się w jednej ustawie. Potrzeba oddzielnego aktu, który by podobnie jak w Anglii jednoznacznie i ściśle regulował zasady karania i bezpieczeństwa podczas meczów i odnosił się tylko i wyłącznie do chuligaństwa otaczającego piłkę nożną. Żadna z innych imprez masowych w Polsce nie skupia wokoło tyle agresji i zachowań negatywnych, co ta dyscyplina sportu. Sądy 24-godzinne zaproponowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości to krok

w dobrym kierunku. Ale to wciąż za mało, by wypędzić plagę agresji choćby tylko poza bramy stadionów.

W marcu 2006 r. Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiadało reformę systemu prawnego, mającą na celu przeciwstawienie się chuligańskim zachowaniom i zwiększenie karalności wykroczeń i przestępstw dokonywanych pod osłoną klubowego szalika. Doczekaliśmy się nowej Ustawy o bezpieczeństwie imprez masowych, powstania sądów 24-godzinnych, jednak takie działania trudno nazwać reformą.

Warto przytoczyć charakterystyczne decyzje prawodawców angielskich. W oddzielnej ustawie dotyczącej tylko i wyłącznie chuligaństwa piłkarskiego stworzyli oni system, który zakończył trwający kilkanaście lat okres stadionowych awantur, ulicznych starć i brutalnych morderstw.

Mowa tutaj o ustawie *Football Spectators Act* z 1989 r. Pozbawiła ona kibiców anonimowości tworzącej iluzję bezkarności. Tłum już nigdy potem nie był zasłoną dla przestępców, o czym świadczą statystyki. Fundamentalnym narzędziem ustawy stał się *System Rejestracji Kibiców Piłkarskich*, prowadzony przez specjalny urząd powołany przez *Football Association* (Brytyjski Związek Piłki Nożnej) i *Football League*. Od tamtej pory prawo wstępu na oficjalny mecz piłkarski, niezależnie od klasy rozgrywkowej, mają tylko kibice zarejestrowani w *Systemie* i autoryzowani przez *System* do uczestnictwa w konkretnym meczu. Wyposażeni są oni karty identyfikacyjne, a wejście na stadion osoby nieposiadającej karty bądź próba wtargnięcia to poważne przestępstwo karane pozbawieniem wolności do jednego miesiąca oraz karą grzywny



zachowania, a później do respektowania zasad. Przy pełnym monitoring, rejestracji kibiców oraz jasno i przejrzysto określonym systemie karnym wykrywalność przestępstw stadionowych sięgnęła niemal 100 procent.

Po skazaniu przez sąd królewski za przestępstwo stadionowe kibic otrzymuje zakaz wstępu na wszystkie mecze oficjalne, jakie odbywają się na terenie Wielkiej Brytanii. W zależności od przewinienia zakaz trwa od dwóch lat (aż do dożywocia). Policja jest organem odpowiedzialnym za egzekwowanie zakazu. Osoba wykluczona z *Systemu Rejestracji Kibiców* przez cały okres zawieszenia ma obowiązek w dniu meczu stawienia się na komisariacie policji i zobowiązana przebywać tam dwie godziny przed rozpoczęciem meczu, w jego trakcie i godzinę po zakończeniu. Obowiązek ten jest bezwzględnie respektowany, a kara ponownego miesięcznego pozbawienia wolności za nieobecność w komisariacie działa na wyobraźnię kibica.

Po roku stadionowej banicji może nastąpić skrócenie zawieszenia, jednak karany musi przedstawić dokument z komisariatu, według którego zawsze stawał się w określonych dniach i nigdy się nie spóźniał. Spóźnienie odbiera szansę przedterminowego cofnięcia zakazu stadionowego. Z uzasadnionych przyczyn, jak choroba lub praca, możliwa jest nieobecność w komisariacie. Kibic musi jednak wcześniej udokumentować powód nieobecności. W trakcie meczu policja ma prawo sprawdzić miejsce pobytu takiej osoby, a koszty kontroli pokrywane są przez osobę objętą zakazem. Nieobecność w zadeklarowanym miejscu podczas kontroli karana staje się zarzutem składania fałszywych zeznań, a do sądu trafia kolejny, surowszy akt oskarżenia.

Warto zaznaczyć, że wymienione wyżej zasady systemu zostały zaostrzone w 2000 r. Wtedy to wydano *Football Disorder Act* zawierający serię kolejnych korzystnych, ale surowych przepisów. Akt ten daje możliwość władzom lokalnym do zatrzymania paszportu osobie skazanej za bandytyzm stadionowy w przypadku, gdy „jego zespół” gra poza granicami Wielkiej Brytanii. Policji dano uprawnienie do zatrzymania na 24 godziny osoby ukaranej zakazem, jeżeli tylko istnieje podejrzenie jej udziału w aktach przemocy lub zakłócania porządku. Jed-

nocześnie wprowadzono pełną wymianę danych zawartych w *Systemie Rejestracji Kibiców* z rejestrem *Krajowego Kryminalnego Biura Śledczego (NCIS)*. Nowy akt zdefiniował również przestępstwo „przemocy”, za które można skazać kibica piłkarskiego na karę od 6 do 10 lat zakazu stadionowego. Przestępstwem tym jest nie tylko czysta odmiana przemocy, ale i każdy gest bądź groźba skierowana przeciwko mieniu bądź innej osobie, a także rasizm. Kara rozpoczyna się już w dniu wydania werdyktu przez sąd.

W myśl prawodawstwa brytyjskiego „przestępca stadionowy” określa się osobę dopuszczającą się wykroczenia lub przestępstwa również poza stadionem (np. na drodze na mecz bądź podczas świętowania po nim). Tym samym mianem nazwano osoby odbywające karę zawieszenia a popełniające kolejne przestępstwo, nawet jeżeli nie mają one nic wspólnego z piłkarskimi rozgrywkami.

Z danych policji brytyjskiej po wprowadzeniu obu aktów prawnych wynika, że liczba aresztowań podczas meczu oraz bezpośrednio przed meczem, jak i po nim wynosi 0,01 procent w porównaniu z latami poprzedzającymi wprowadzenie obu aktów prawnych. Zakazem stadionowym objętych jest ponad 31 tys. osób, a ponad 3 tys. specjalnym nadzorem. Odnotowano przy tym najwyższą frekwencję na trybunach od 35 lat. Świadczy to o tym, że reformą udało się odwrócić niechlubny przez lata trend przemocy i agresji. Możliwe to było dzięki zastosowaniu trzech zasad: restrykcji, przejrzystości i konsekwencji.

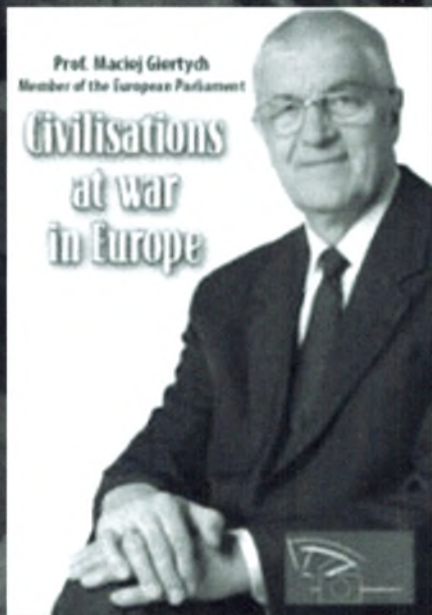
Sądy 24-godzinne to początek zmian w naszym kraju, które, miejmy nadzieję, przyczynią się do osiągnięcia podobnych rezultatów, co w Anglii. Nie jest to jedyny krok w celu poprawy wizerunku polskiej piłki. Krok ten wydaje się na razie dość niemrawy, a do zrobienia jest znacznie więcej. Na Wyspach bezpieczeństwo przyciągnęło widzów na stadiony, pełne trybuny zainteresowały sponsorów, a ich inwestycje wpłynęły na kondycję finansową klubów i atrakcyjność rozgrywek. Oczekujemy od rządu, że w Polsce nastąpią podobne zmiany. Wtedy będziemy mogli nie tylko liczyć na organizację mistrzostw Europy, ale i też ich się spodziewać. ■

PS

Właśnie się to stało. Jesteśmy wraz z Ukrainą gospodarzami EURO 2012 r.

w wysokości na polskie warunki 6 tys. zł. Podobna kara grozi za posługiwanie się kartą identyfikacyjną innej osoby.

Kibic zarejestrowany w systemie objęty jest przez prawo stadionowe nie tylko podczas meczu, ale i po jego zakończeniu. System kar i nakazów zaczyna obowiązywać na dwie godziny przed spotkaniem niezależnie od tego, czy kibic jest już na stadionie, a przestaje dopiero godzinę po zakończeniu widowiska. Każdą osobę zatrzymaną przez policję lub służby ochrony wzywa się na posterunek. Jeżeli zignoruje wezwanie, do zarzutów dołącza się kolejne oskarżenie, za które grozi miesięczne pozbawienie wolności, a policja wydaje nakaz zatrzymania. Surowym i konsekwentnym karaniem nawet osób niepełnoletnich, nakładanych grzywnami tysięcy funtów udało się zmusić kibica najpierw do myślenia na temat własnego



Kilka uwag po przeczytaniu broszurki jegomości Giertycha Macieja zatytułowanej „Civilisations at War in Europe”

KATHARSIS, czyli litość i trwoga

Grzegorz Makuch

Nieposkromiona chęć poprawienia sobie humoru skłoniła mnie do przeczytania broszurki jegomości Giertycha Macieja zatytułowanej *Civilisations at War in Europe* (na stronie www.giertych.pl jest polska wersja!). I co ciekawego się dowiadujemy z owych trzydziestu stronnic?

A mianowicie we wstępie Giertych oświadcza, że powoduje nim potrzeba rozpowszechnienia znakomitego dziełka polskiego filozofa i historyka, Feliksa Konecznego – dlatego podejmuje się on trudu streszczenia książki *O wielości cywilizacji*, jako że nie była ona tłumaczona na obce języki.

A i owszem, książka dobra, acz momentami kontrowersyjna – czytałem jakiś czas temu. Niemniej to, co uczynił Giertych, jest wykorzystaniem teorii Konecznego do partykularnych potrzeb! Głosi on także własne poglądy pod nazwiskiem tegoż uczonego, jak i nadaje swej czynności charakter altruistycznej potrzeby propagowania jego nazwiska.

A mianowicie Giertych na początku swojego eseju zarysowuje za Konecznym kryteria klasyfikacyjne cywilizacji – rasa, język, religia, prawo, źródło praw, stosunek do etyki i czas. I tak cywilizację definiuje jako „produkt ducha ludzkiego, który wyznacza normy”. Według tych norm społeczeństwo się organizuje, a kultura jest sposobem adaptowania owych norm. Czynniki, które różnicują cywilizację, między sobą wzajemnie się wykluczają. Integracja, rozwiązania pośrednie, w rodzaju tygla, nie jest możliwa. Cywilizacje będą konkurować ze sobą, a w ramach jednej społeczności ostatecznie wygrać może tylko jedna.

Giertych wymienia za Konecznym, pięć cywilizacji (łacińska, turańska, bizantyjska, żydowska i arabska). Każdą z nich opisuje ze względu na wcześniej wymienione kryteria klasyfikacyjne cywilizacji – rasa, język, religia... I tak dla cywilizacji łacińskiej źródłem prawa jest etyka, a prawo pisane zawsze traktuje się jako niedoskonałe. Natomiast

w kwestii rozwoju duchowego, materialnego i intelektualnego cywilizacja owa zasadza się na etyce Kościoła katolickiego.

Dekalog obowiązuje zawsze i wszędzie, we wszystkich dziedzinach życia prywatnego i zbiorowego, również międzynarodowego. A więc nawet polityka i wojna nie są wolne od ograniczeń etycznych! To nas różni od cywilizacji bizantyjskiej, od Niemiec, i od cywilizacji turańskiej, od Rosji.

Ale na tym Giertych nie poprzestaje. Ciągnie swe wynurzenia dalej: *Nasza siła leży w różnorodności, w gotowości do krytykowania państwa i winniśmy tego bronić przed niemieckimi zamiarami regulowania wszystkiego odgórnie – dzisiaj raczej z Brukseli niż z Berlina. Ta nadmierna regulacja wszystkiego, dominująca w Unii Europejskiej, w sposób oczywisty jest pochodzenia bizantyjskiego, a nie łacińskiego.*

Zatem z Unią Europejską nam nie po drodze, z powodu różnic „cywiliza-

cyjnych”. Nic nowego. Wszak LPR była i jest partią eurosceptyczną. Pytanie tylko: co w takim razie Maciej Giertych robi w europarlamencie? Chyba nie próbuje rozbić Unii od środka, bo to się wydaje – z całym szacunkiem dla potencjału Pana Giertycha – mission impossible.

Ale idźmy dalej. Cóż ciekawego Giertych jeszcze stworzył w owym piśmie? A mianowicie dowiadujemy się z niego, że wojna cywilizacji toczy się w szkołach, poprzez wpajanie w te młode, dziewicze umysły bezceństw. A ponadto: *Stale słyszymy o potrzebie serwowania dzieciom „edukacji seksualnej” w szkołach. Dzieci indoktrynuje się w temacie antykoncepcji i gimnastyki seksualnej.* Lepiej nie wnikać, co europoseł rozumie przez „gimnastykę seksualną”. Tak będzie bezpieczniej. Co ciekawe, Giertych uważa, że równie zły wpływ na młodzież ma... muzyka. *Słucha się jej przy pomocy walkmanów i tak naprawdę nikt nie wie, czego dziecko słucha. Współczesna muzyka często zawiera treści erotyczne, lub nawet sataniczne.*

No dobrze! Ktoś powie, że już dość piętrzenia problemów, lepiej niech ktoś da remedium. O! I jak znalazł. Maciej Giertych pisze: *Jest tylko jedno rozwiązanie. Aby dom był głównym wychowawcą, musi w nim być matka.* Wiem, że ryzykują gniew wielu kobiet, które zechcą to przeczytać. [Cóż za dalekowzroczność i polityczna poprawność - G. M.] *Ale nie oszukujmy się. W cywilizacjach, gdzie życie rodzinne jest tak zorganizowane, że matki są w domu, zasady cywilizacji są w sposób ciągły przekazywane z pokolenia na pokolenie. Tam gdzie matka jest nieobecna przez większość dnia, dzieci są wychowywane w zespole wartości obcych rodzicom. Dom bez matki jest domem pustym i dzieci uciekają od takiego domu, szukając poradnictwa i pomocy gdzie indziej.* Jak widać rozwiązanie problemu patologii w szkołach jest proste, skuteczne, a i owocne dla rodziny. Ciekawe, jakie poglądy w tej sprawie ma syn Roman Giertych, *notabene* minister edukacji i sportu.

Senior Giertych poruszając w broszurce jeszcze kilka innych kwestii: opisuje cywilizację turańską, za przykład podając... Rosję. Co ważne, Koneczny egzemplifikacje tej cywilizacji widział w Hunach, Turkach, Mongołach i Kozakach, a nie w Rosji! Ale wracając do nestora rodu, przytacza on

myśl historiozofa, twierdząc, że w kręgu tej cywilizacji nie ma prawa publicznego, istnieją tylko wola władcy. „To, co podoba się władcy, ma moc prawa” – nie, to nie Giertych, lecz Henryk IV. Wyznacznikiem jest także maksymalny centralizm władzy, gdyż wszystko ma charakter rozkazodawczy, a cała siła państwa skierowana jest na potęgę militarną, brak zwycięstw bowiem staje się asumptem do rozpadu państwa. Spowodowane jest to brakiem akceptacji turańczyków dla przegranych, jak i dla braku silnej, niepodzielnej władzy. Autor konkluduje, że car na tron rosyjski powrócił, wywłaszczając oligarchów i wschodni sąsiad wrócił do normalności – turańskiej normalności. Tym carem jest Putin.

Najbardziej znacząca w elaboracie *Wojna cywilizacji w Europie* jest wątek, za który Giertych został ukarany przez Parlament Europejski – cywilizacja żydowska. Europoseł twierdzi, że koniecznym, że jest ona zgoła inna od cywilizacji łacińskiej, dla której spoiwem jest państwo i wspólna historia. Natomiast dla cywilizacji żydowskiej spoiwem jest świadomość misji powierzonych od Boga, misji narodu wybranego. Dlatego tego drugiego nie można nazywać mianem „narodu”, lecz raczej ludem. A co za tym idzie – w mniemaniu Giertycha – *Żydzi nie stanowią odrębnej rasy i dlatego traktowanie antysemityzmu jako rasizmu jest wielkim nieporozumieniem.* Te dwie cywilizacje różnicuje także stosunek do prawa. Cywilizacja łacińska wywodzi prawo z etyki katolickiej, natomiast żydowska z Tory. I tak w przypadku pierwszej prawo ewoluuje wraz ze zmianą świata i potrzeb, a w przypadku drugiej ewoluuje interpretacja prawa.

My się nieraz śmiejemy z żydowskich obyczajów, gardzimy nimi. Tymczasem, gdy w pociągu Żyd w sobotę siedzi na butelce gumowej z wodą, czyni to z wierności swojej religii, bo w szabat podróżować nie wolno, chyba że na wodzie. Dla niego jest to przestrzeganie litery prawa, obowiązku moralny. Dla nas to zakłamanie, to złamanie intencji prawodawcy.

Dalej pisze: *Czy np. odróżniamy kradzież przedmiotu prywatnego od kradzieży przedmiotu należącego do państwa albo kłamstwa wobec bliskich i wobec przeciwników? Ta sytuacyjność etyki pochodzi z cywilizacji żydowskiej i winniśmy się jej wystrzegać.*

W podrozdziale o cywilizacji żydowskiej mamy także takie perełki jak teza, że Roman Dmowski nie tylko nie był antysemitą, ale był wręcz pierwszym obrońcą Żydów, tylko że oni wtedy byli jeszcze tego nieświadomi. Nie będę się rozwodził też nad najczęściej cytowanym zdaniem z tej broszurki – *Żydzi sami tworzą getta, jako dystrykty, w których razem mieszkają, porównywalne do chińskich dzielnic w USA. Dopiero hitlerowski Niemcy stworzyły pojęcie izolacji przymusowej, getta zamkniętego, którego nie wolno było Żydom opuszczać.* Jedyne co, w tym miejscu napisze, to to, że pierwsze getto w tym znaczeniu stworzyli w XVI wieku Wenecjanie, rozkazując Żydom osiedlić się na jednej wyspie i zakazując opuszczania jej. Bowiem to jeszcze nie jest najgorsze, co można wyczytać na tych stronicach. Gdyż albo umysł mnie zawodzi i źle zrozumiałem przesłanie owej lektury, albo wojna, która się toczy [sic!] w Europie, jest wojną cywilizacji, jest wojną cywilizacji, do której należy polska, z cywilizacją żydowską, bizantyjską (niemiecką) i turańską (rosyjską).

Teza ta – przynajmniej – jest zatrważająca! Uważam, iż zatrważający jest także fakt, iż polityk reprezentujący Polskę w Unii Europejskiej postrzega świat w tych kategoriach. Nie wiem też, czy powinno mnie śmieszyć, czy martwić, że ojciec ministra edukacji chlubi się także, iż jego matka, a babka ministra, nie przeczytała *Chłopów* Reymonta, gdyż mąż zabronił, bo kierował się troską o moralność małżonki, uznając, że lektura zawiera sceny nieprzystojne. Ale wiem jedno: oburzające jest ze wszech miar wykorzystywanie dorobku intelektualnego Feliksa Konecznego dla głoszenia tez, pod którymi on by się nie podpisał. Prawdą bowiem jest to, że Koneczny widział więcej wad niż zalet u Żydów. Prawdą jest też, że dokonał takiego, a nie innego podziału cywilizacji, wedle takich, a nie innych kryteriów, i głosił tezę, że nijak nie można stworzyć jednej, globalnej cywilizacji.

Nie zmienia to jednak faktu, iż broszurka, z którą mamy do czynienia, jest mieszaniną poglądów Konecznego z myślą narodową, zaprawioną ludowymi zabobonami i odrobiną pseudo-intelektualnego bełkotu.

Zatem o ile broszurki Giertycha nie polecam, o tyle książkę *O wielości cywilizacji* Konecznego – jak najbardziej tak. ■

StuDnia

Prekursor modernizmu skandynawskiego

Jesteśmy po to, aby humanizować mechaniczną formę materiału – mówił Alvar Aalto

Był jednym z ojców architektury modernistycznej, a także wzornictwa przemysłowego. O ile architektura może być Wam nieznana, o tyle jest bardzo możliwe, że przedmiotów jego projektu używacie na co dzień

Bartosz Sałaciński

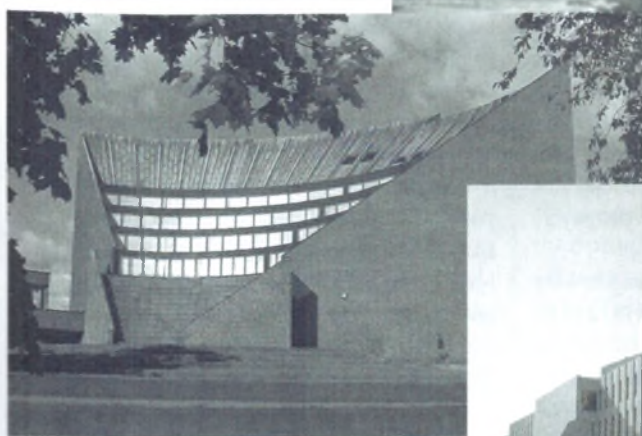
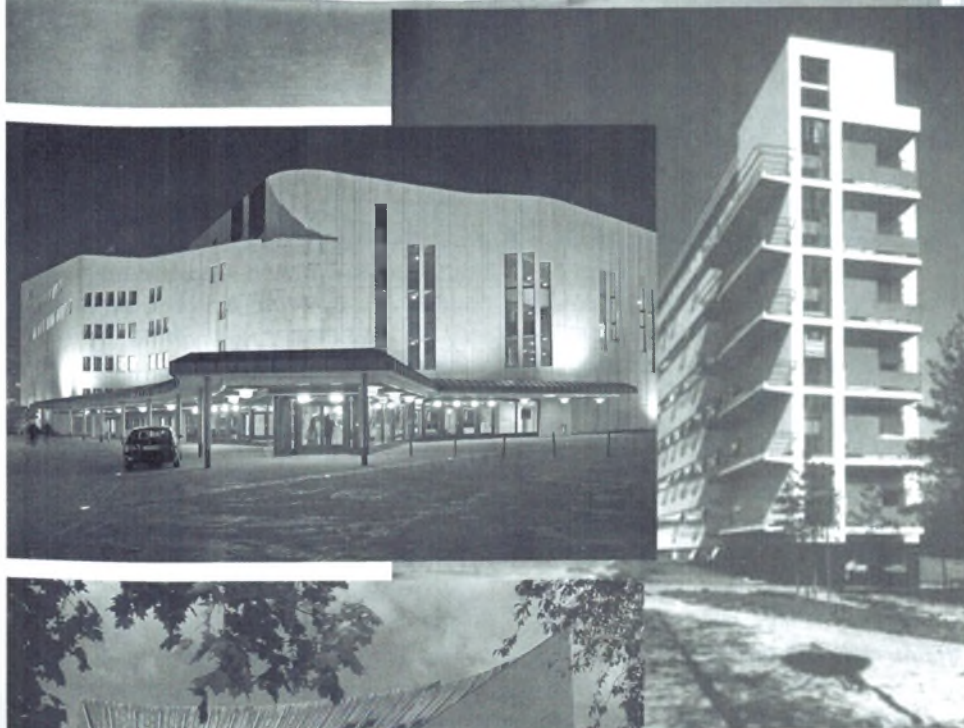
Na wstępie muszę Was przeprosić za to, że nie opowiem o pasjonującym życiu, karierze, osiągnięciach i wkładzie w architekturę oraz wzornictwo przemysłowe Alvara Aalto w takim stopniu, w jakim chciałbym i jak należałoby to zrobić. Powodem tego jest objętość artykułu. Postanowiłem umieścić większą liczbę ilustracji na rzecz tekstu, ponieważ nie da się mówić o architekturze czy sztuce, nie patrząc na nią.

Hugo Alvar Henrik Aalto, urodzony pod koniec XIX wieku w Kuortane w Finlandii, wykształcony na politechnice w Helsinkach, pierwsze biuro architektoniczne założył zaledwie po dwóch latach od ukończenia studiów. Rok później ożenił się z Aino Marsio, także architektem, z którą później założył firmę „Artek” produkującą wyposażenie wnętrz (przede wszystkim meble i lampy).

Członek Congrès International d'Architecture Moderne oraz laureat najważniejszej międzynarodowej nagrody architektonicznej, Nagrody Pritzкера, projektował głównie w krajach skandynawskich, ale także w Dani, Niemczech i USA. Za oceanem znalazł się w 1940 r. i związał się z uczelnią Cambridge. Na uwagę zasługuje fakt, że jako jedyny ze znanych architektów XX wieku był osobą bardzo znaną w ojczystym kraju, poważaną i szanowaną, traktowaną niemal jak gwiazda muzyki czy filmu. Tuż po śmierci Alvara Aalto w 1976 r. Finlandia wyemitowała banknot pięćdziesięciomarkowy z portretem architekta i wizerunkiem jego najważniejszego dzieła, *Finlandia Talo* (Dom Finlandia) w Helsinkach. ►



Wybrane obiekty architektoniczne Alvéra Aalto:



- Willa Mairea, Noormarkku, Finlandia (1937-1939) – połączenie charakterystycznych elementów międzynarodowego modernizmu z elementami fińskiej tradycji budowlanej. Inwestorem willi był prezes fińskiego koncernu drzewnego (dom wzniesiony w otoczeniu lasów);
- Dom własny w Riihitie, (1935-1936 r.), zaprojektowany przez Alvéra, i jego pierwsza żona Aino. Dom czysto modernistyczny, biała elewacja, horyzontalne bryły;
- Sanatorium dla gruźlików w Paimio (1928 r.), wertykalna bryła, biała elewacja, charakterystyczne podłużne okna i uporządkowany rytm. Wszystkie pokoje pacjentów skierowane na południe;
- Budynek politechniki w Helsinkach w Espoo (1949-1966);
- Hala koncertowa w Helsinkach (Finlandia Talo) (1962-1971);
- Teatr-opera w Essen (Niemcy) (1955-1988);
- Muzeum Alvéra Aalto (1973) zaprojektowane przez samego Alvéra; oferuje ekspozycje jego prac malarskich, makiet i projektów architektonicznych oraz obiekty wzornictwa przemysłowego;
- Kościół Trzech Krzyży w Voikkaa (1956-58);

► Wzornictwo przemysłowe stanowiło dla Alvara Aalto ważną dziedzinę twórczości, o czym świadczy mnogość jego projektów i realizacji. Do najbardziej znanych należy fotel oparty na ramie ze sklejkę giętej czy wazony wszelakiej maści (od szklanych po porcelanowe czy fajansowe o wybujałych, pofalowanych w płaszczyźnie poziomej kształtach). Fajalistyczna linia jest również zauważalna w paru realizacjach architektonicznych (np. budynek domu studenckiego w Cambridge Massachusetts (USA z 1947 r.).



Wspomniany fotel to przykład przedmiotu, który do dziś nic nie stracił na popularności i gości w wielu domach nie tylko skandynawskich. Zyskał sobie uznanie prostotą wykonania, wygodą, ale przede wszystkim estetyką. Aalto był znany z tego, że lubił projektować wyposażenie wnętrz dla obiektów przez siebie projektowa-

nych. Jego dzieła, zarówno te architektoniczne, jak i z dziedziny wzornictwa, zawsze uważano za protest przeciwko powierzchownej nowoczesności, nie-naturalności, technicyzmowi.

Harmonijny rozwój wszystkich dziedzin twórczości towarzyszących architekturze, takich jak rzemiosło artystyczne, wzornictwo przemysłowe, meblarstwo, stworzyły w Finlandii doskonałą jedność stylu przy niezwykle wysokiej jakości wyrobów.

Mówiąc o architekcie modernistycznym Alvarze Aalto, nie sposób nie dotknąć samej istoty modernizmu. Architektura modernistyczna ówczesnych lat (lat 20. i 30.) różniła się od stylów epok wcześniejszych przede wszystkim tym, że nie stosowano już nigdy więcej ornamentyki na elewacjach i we wnętrzach. Duże znaczenie miały także nawołujące do minimalizmu sentencje Miesa van der Rohe „*Less is more*” (tłumaczone jako „*Mniej znaczy więcej*”) oraz Adolfa Loosa „*Ornament to zbrodnia*”.

Charakterystyczne dla modernizmu stało się zastosowanie żelbetu – materiału stosunkowo nowego, który zyskał popularność pod koniec XIX w. (wykorzystywali go inni architekci, np. Le Corbusier, Mies Van der Rohe czy Walter Gropius). Modernizm hołdował prostocie i funkcjonalności formy. Dominowały podłużne okna dające maksymalną dawkę światła, białe elewacje, czyste, ortogonalne podziały w bryle,

eksperymenty z połączeniem zewnątrz z wnętrzem poprzez duże przeszklenia, atria czy tarasy. Aalto jednakże nie poszedł w kierunku żelbetonizmu. Wolał stosować materiały bardziej przyjazne człowiekowi, takie jak cegła czy drewno, którego nie mogło zabraknąć w Finlandii. Z drewnem „zaprzyjaźnił” się także podczas tworzenia swoich mebli. Nie oznacza to jednak, że Alvar Aalto nie stosował takiej zdobyczy budownictwa jak żelbet. Żelbet dawał zbyt duże możliwości kształtowania bryły, aby można go było bezkarnie pominąć.

Fińskiego twórcę trzeba więc nazywać przedstawicielem „innego modernizmu”, który nie ograniczał się tylko do białych brył, pozbawionych „ozdóbek”. Wielka wrażliwość i poczucie jedności z naturą nakazywały artystce dystansować się od przedstawicieli radykalnego modernizmu, bez konieczności posługiwania się formami historyzującymi. Próbował swą architekturę wtopić w krajobraz, stosując materiały dostępne w regionie, jak również działając bryłą i szukając relacji pomiędzy budynkiem a ukształtowaniem terenu.

Projekty architektoniczne Alvara Aalto już od dawna stanowiły eksportowe dobro fińskiej kultury. Był architektem, który chętniej projektował i budował, a mniej dyskutował na temat architektury. „*Każdym nowym projektem architektonicznym piszę dziesięć ksiąg filozoficznych*” – mawiał Alvar Aalto. ■

„Stryczek dla dwóch, czyli rzeź domowa”

W Teatrze KTO



W Teatrze KTO w Krakowie będziecie mogli obejrzeć spektakl wg Ivana Bukovčana – *Stryczek dla dwóch, czyli rzeź domowa*. Tragikomedia została oparta na prawdziwej historii mężczyzny, który przez dwadzieścia lat ukrywał się na strychu swojego domu, słuchając Radia Wolna Europa i czekając na przybycie wojsk amerykańskich.

Sztuka była wystawiona po raz pierwszy w szczecińskim Teatrze Polskim (1972 r.) pt. „*Pętla dla dwóch albo szubienica domowa*”.

Inscenizacja Teatru KTO korzysta z nowego przekładu Bogusława Kundy, przywracając oryginalny nieocenzurowany tytuł. Jest to przedstawienie o tchórzostwie, biologicznym zegarze, pasożytnictwie, emocjonalnym szantażu i niespełnionych marzeniach.

Widziałem, jak spółkujecie, wy, bracia pa-
jaki, i mogę wam powiedzieć, że jest to śmieszne
i... nie jest to to! Co najgorsze, wasze samiczki
są mocniejsze i zeżrą swojego kochanka, jesz-
cze zmęczonego miłością. Wasze noce posłubne
kończą się pogrzebami, a wasze panny młode
w tej samej chwili stają się wdowami!

Mam sumienie. I charakter, proszę
pana! Gdyby pan miał trzy żony, to prze-
spalibyśmy się z nimi – gdyby mnie poprosiły
– i nie mrugałbym nawet okiem! Ale znam
granicę. Nie jestem chamem!

Nie lubię, kiedy mężowie wieszają mi
się nad głową. Przecież mąż to też człowiek!

Takie są czasy. Wszyscy kłamiemy.
I wszyscy jesteśmy okłamywani.

Nie zna pan kobiet? Zrobią panu piekło
albo raj na ziemi. Kochają albo nienawidzą.
To, co pomiędzy, nie interesuje ich. ■

Ukradłem 60 tys. zł bez skrpułów.
Przywłaszczając sobie cudzą własność,
nie czuję nic..



Jedna nielegalna kopia nikomu nie zaszkodzi

foto: www.unc.edu/courses/2005spring/law/357c/001/projects/getz/images/handimg%20out%20he%20cd.jpg

Jestem studentem, mam 22 lata. Od ponad dziewięciu lat regularnie kradnę. Nie jestem kleptomanem. Robię to świadomie, tak samo jak moi znajomi. Kradniemy wszyscy. Podliczając wszystko, co do tej pory sobie przywłaszczylem, otrzymałem wynik: ok. 60 tys. zł.

Korzystam z oprogramowania, które ukradłem. Niestety, jest to Microsoft Windows XP, a nie najnowsza Vista, ale mam nadzieję, że niedługo zmienię system na nowszy. Do tego pakiet Microsoft Office 2003, zainstalowany, co prawda, nie kompletnie, tylko częściowo (potrzebne składniki), ale w każdym momencie mogę doinstalować. Prawdą jest, że posiadam darmową wersję Linuksa Mandreli, ale wygodniej jest posługiwać się oprogramowaniem Billa Gatesa.

Z programów używam jeszcze: Flash, Adobe Photoshop, oczywiście Nero, i wielu innych. Wszystkie nielegalne.

Gram w trzy gry. Nie kupiłem żadnej. Za darmo mam zajęcia na kilka miesięcy

i mnóstwo dobrej zabawy, która jak wiadomo jest bezcenna. Uwielbiam kino. Tygodniowo pobieram z sieci średnio cztery filmy. Niektóre nie miały jeszcze premiery. Do tego dochodzi pokaźnych rozmiarów kolekcja muzyki. Katalogowana w pedantyczny sposób. Najpierw szeroko pojęte gatunki, później w podfolderach podgatunki. Następnie artyści i każda płyta z tytułem albumu i datą wydania.

Mam świadomość tego, że kradnę, wiem dobrze, że łamię prawo. Przywłaszczając cudzą własność, nie czuję nic. W żaden sposób nie krępuje mnie to, że tysiące ludzi włożyło swoją pracę w każdy z programów, w każdą grę czy płytę. Okradając, niszczy ludzi. Skazuję na pracę w „Tesco” utalentowanych artystów.

Czasem pomyślę nad tym, co robię. Usprawiedliwiam się wtedy na tysiące różnych sposobów. A to, że jedna nielegalna kopia nikomu nie zaszkodzi, że olbrzymie koncerty takie jak Microsoft zarabiają miliardy na swoich programach. Mówię, że to wszystko przez to,

iż taka drożyzna. Gdyby płyty były tańsze, kupowałbym je. Nie musiałbym kraść. Zdarza mi się też powiedzieć, że to wina polskości. Tego, że jestem Polakiem, że tutaj wszyscy kradną. Wszyscy ściągają, wysyłają, nagrywają na płyty, drukują okładki i sprzedają. A ja przecież tylko dla siebie, na swój użytek. Nie czerpię korzyści materialnych z programów, których używam.

Następnie przychodzi moment, w którym czuję, że zagłuszyłem sumienie. Wmówiłem sobie, że ten biedny niszowy artysta, który wydał pierwszą płytę, sprzedał ją, zarobił na niej i ma za co nagrać kolejną. W tym czasie, gdy on będzie siedział spocony w studiu, nadwierał struny głosowe, pisał kolejne dobre teksty, ja będę spokojnie czekał. Później kliknę, najpierw lewym przyciskiem myszy, później prawym. Najadę, na download i za trzydzieści cztery minuty będę się raczył świeżo skradzionym produktem...

deEr

Młodzi zmieniają wizerunek

Polski

**To nieprawda, że „Polak nie zna języków”
lub że „jest zawsze pijany”**

Liczne kampanie reklamowe, które mają na celu zmianę negatywnego wizerunku Polski na świecie, oraz zachęcenie obywateli innych krajów do odwiedzenia nas byłoby skuteczne, gdyby instytucje je tworzące skoordynowały działania.

Joanna Mysińska

Dobrze przeprowadzona akcja wizerunkowa, taka choćby jak w niedawnym czasie uskuteczniła w Hiszpanii, to nie tylko napływ turystów, ale też inwestorów. A przecież w Polsce mamy do tego doskonałe warunki i wykwalifikowanych pracowników. Zalety Krakowa już dawno zostały zauważone zarówno przez zagraniczne firmy, jak i wczasowiczów masowo przyjeżdżających do nas w miesiącach wiosennych.

Dobrym źródłem informacji, jak przeprowadzić pomyślną kampanię reklamową kraju, jest badanie opinii publicznej w państwach, w których owa akcja wizerunkowa ma być zrealizowana. Wynik bywa często zaskakujący, szczególnie, gdy mieszkańcy danego kraju postrzegają samych siebie zupełnie odwrotnie niż obywatele innych państw.

W momencie gdy sami o sobie myślimy jako o osobach uczciwych, religijnych, wykształconych, patriotycznych, zaradnych, kulturalnych i życzliwych, inni uznają Polaków za odważnych, dyscyplinowanych, a Polskę za tradycyjną i z pięknymi miejscami. Jednak dużo skojarzeń jest negatywnych. „Polska to kraj leżący na peryferiach”, „Jest tam zimno”, „Pijany jak Polak” – to niektóre z nich. Według Francuzów w Polsce problemem jest biurokracja i korupcja. Jednak na szczęście myślenie obywateli innych państw na nasz temat stale zmienia się w kierunku pozytywnym i to dzięki wejściu Polski do Unii Europejskiej.

Paradoksem w tej sytuacji jest fakt, że mimo tak dużej liczby osób, które zdecydowały się wyjechać do pracy na Zachód i deklarują, że

już nie zamierzają wrócić, oraz mimo obecnej sytuacji na arenie politycznej, gdzie różnego rodzaju afery, wykrywane każdego dnia, psują wizerunek naszego kraju i powodują jego ośmieszenie, to jednak wzrasta liczba młodych obywateli, którzy cieszą się, że są Polakami, i nie planują się tego wstydzić.

Ten także pozytywny i budujący trend pragnę poprzeć przykładem z autopsji. Niedawno wróciłam ze stypendium w Austrii, gdzie studiowałam z przedstawicielami różnych państw, takich jak: Czechy, Hiszpania, Meksyk, Niemcy i Węgry. Wiele rozmawialiśmy o naszych krajach i nigdy nie słyszałam od nich ani jednego negatywnego komentarza na temat Polski i Polaków. Nikt nie opowiadał żartów, które kończyły się stwierdzeniem, że Polak nie zna języków lub że jest zawsze pijany, jak swego czasu na kanale jednej z zagranicznych stacji telewizyjnych.

Pamiętajmy jednak, że wiele zależy od nas samych. No bo skąd może się brać obecnie wizerunek Polaków? Przecież teraz tylu obywateli Polski jest rozsianych po całym świecie... ■



Radio internetowe w KSW!

Witajcie: tu eS-eR-eF

Studenci Krakowskiej Szkoły Wyższej mają od niedawna własne radio internetowe pod nazwą SRF [wym. eS-eR-eF]. Można go słuchać przez całą dobę w Internecie, ale także w budynkach kampusu przy ul. Herlinga-Grudzińskiego oraz w pomieszczeniach dydaktycznych przy ul. Lipowej, czyli tam, gdzie odbywają się zajęcia.

Radio ma spełniać głównie rolę informacyjną, stanowić forum wymiany poglądów, być miejscem prowadzenia dyskusji na ważne kwestie dotyczące spraw studenckich. Sukcesywnie pojawiać się będą audycje poświęcone tematyce kulturalnej (filmowej, teatralnej, nowościom wydawniczym itp.). Myśli się o zapraszaniu od czasu do czasu do studia znanych i lubianych gości (znanych z pierwszych stron gazet).

Jeśli chodzi o muzykę, to z założenia w Studenckim Radiu Frycz prezentowana jest głównie muzyka alternatywna (reggae, rock, trip-hop, drum and bass, muzyka klubowa itd.). Miłośnicy popu będą więc zawiedzeni...

Szczegółowe informacje na temat radia SRF można znaleźć na stronie www.radio.frycz.com. Wszyscy zainteresowani tworzeniem programu mogą zgłaszać pomysły i propozycje pod adresem redakcja@radio.frycz.com. Drzwi studia otwarte są dla każdego.

deEr



**– Gdybyśmy działali
w tej samej branży,
nie dałoby się
uniknąć porównań
i mogłyby być one
dla mnie bolesne...**

– mówi Antonina TURNAU

Szymon „SZYMON:)” Wróbel

Zastanawiałem się, kogo przedstawić w tym numerze „Mixera”. Jak zwykle chciałem, żeby była to osoba ciekawa. Pewnego razu wpadła mi w ręce książka „Prowincjonalne zagadki kryminalne”. Jednym z jej autorów (wcześniej opowiadania z książki były słuchowiskiem w Radiu „Kraków”) jest Michał Rusinek (sekretarz Wiesławy Szymborskiej), a drugą współautorką – osoba bez bujnego życiorysu, studentka I roku polonistyki UJ.

Postanowiłem porozmawiać z nią, bo jest w pewnym sensie kimś wyjątkowym, o kim może być kiedyś głośno. Kto to taki? Jeżeli powiem Turnau, to wszyscy skojarzą: Grzegorz Turnau.

Przedstawiam Wam córkę Pana Grzegorza, **Antoninę Turnau**, która „Prowincjonalnymi zagadkami kryminalnymi” zaczyna tworzyć własną historię... Posłuchajcie, co mówi w wywiadzie dla „Mixera”:



Szymon Wróbel: – Tosiu pozwolisz, że zacznę od miejsca, w którym się znajdujemy, a w którym bohaterowie twojej książki rozwiązują zagadki. Michał Rusinek powiedział: „W tej kawiarni [„Prowincja” na ul. Brackiej – red.] czas jakoś zwalnia”. Też podzielasz jego zdanie?

Antonina Turnau: – Myślę, że tutaj nie marnuje się czasu, a w każdym razie marnuje się go produktywniej.

Sz. W.: – A ty dużo czasu marnujesz?

A. T.: – Niestety. Ale staram się to robić pożytecznie.

Sz. W.: – Dlaczego na miejsce tworzenia tej książki wybraliście akurat to miejsce?

A. T.: – Dlatego, że jest to moje środowisko naturalne. Spędzam tu dużo czasu ze znajomymi i bez znajomych. Poza tym wydaje mi się, że takie kawiarnie jak ta są bardzo krakowskie. A ta książka miała być krakowska. W końcu słuchowisko najpierw powstało na zlecenie Radia „Kraków”.

Sz. W.: – Ile kaw wypiliście, zanim powstały opowiadania?

A. T.: – Nie prowadzę takich statystyk. Choć kiedyś słyszałam o człowieku, który obliczył na potrzeby nie wiem czego, że w życiu wypił cysterne wódki. Ja nie wiem, ile wypłam kawy, pisząc opowiadanka, ale chyba sporo.

Sz. W.: – ...tylko że zadając to pytanie, chciałem się dowiedzieć, jak długo zajęło wam napisanie tej książki.

A. T.: – Mało, ale też mało było czasu – 30 dni na napisanie 40 opowiadań...

Sz. W.: – Kiedy w radiu leciało słuchowisko, mieliście jakiś odzew ze strony słuchaczy – pozytywny lub negatywny?

A. T.: – W pewnym sensie. Nasze opowiadanka stanowiły formę wakacyjnego konkursu dla słuchaczy, w trakcie porannych audycji emitowano je po kawalku, a w przerwach należało zadzwonić i podać rozwiązanie zagadki. Jeśli okazywało się prawidłowe – na zwycięzcę czekała nagroda. Na początku poprawnych odpowiedzi było parę, dwie-trzy, ale pod koniec już ponad sto, więc chyba można to uznać za stosunkowo pozytywny odzew ze strony słuchaczy.

Sz. W.: – W książce wykorzystałaś wizerunek kilku prawdziwych postaci

z Krakowa i Warszawy. Możesz zdradzić, o kogo chodzi?

A. T.: – Postaci autentycznych jest mało. Jedna z nich to pewien wspaniały artysta grafik, przyjaciel moich rodziców, i to właśnie z nim i jeszcze jednym naszym znajomym mieliśmy zabawną przygodę. Po opublikowaniu książki i po tym, jak odnaleźli siebie w którymś z opowiadań, zadzwonili do nas z pytaniem: „Skąd wiedzieliście!?” Okazało się, że zupełnie przypadkiem opisaliśmy sytuację bardzo podobną do tej, która mnie się kiedyś przytrafiła.

Sz. W.: – Co dla ciebie, osoby pierwszy raz pracującej przy książce, było najtrudniejsze?

A. T.: – Ortografia. Przy pracy nad książką mniej ja cierpiałam z tego powodu, bardziej natomiast mój współautor, który długo musiał siedzieć nad moimi opowiadaniem i poprawiać u na ó itd..

Sz. W.: – Dyslektyk na polonistyce?

A. T.: – To jest teraz modne, że jak ktoś robi błędy, to od razu musi być dyslektykiem. Ja jestem raczej dyslektykiem w cudzysłowie. Trawestując stary dowcip, mogę powiedzieć: „Zasady ortografii? Osobiście nie znam, ale wiele dobrego słyszałam”. I chyba stąd się bierze moja niekonwencjonalna pisownia.

Sz. W.: – Z tyłu książki, w opisie, możemy przeczytać twoje dość prowokujące słowa. „Nie mam już co pisać(?), muszę sobie coś napisać”...

A. T.: – To nie moje powiedzenie. Przytoczyłam obcą myśl. W retoryce nazywa się to *sermocinatio*. Poszło w obieg, że to moje słowa, i tak już zostało...

Sz. W.: – Teraz wszystkich pewnie to zainteresuje, a potem rozczaruje. Miałas przygodę z „Playboyem”. Marcin Meller, redaktor naczelny, zaproponował wam współpracę po przeczytaniu książki...

A. T.: – Tak. Mój współautor wymyślił mi taką frazę: „Zawsze chciałam być w «Playboyu», na razie udało mi się trafić tylko do działu «Proza»...”. A tak poważnie, to, owszem, Marcin Meller zaproponował nam napisanie krótkich opowiadań, które by były „ilustracją” do zdjęć krakowskiego fotografa Łukasza Sakiewicza. I tak też się stało.

Sz. W.: – Tosia, pomówmy chwilę o tobie...



fol. Bartosz Kłeczek

A. T.: – Nareszcie...

Sz. W.: – Zwykle kiedy z kimś rozmawiam, to jest to osoba, która większą część biografii ma już spisaną. Ty jesteś na razie przy... pierwszym akapicie. W jaki sposób chciałabyś zapisać swoją biografię?

A. T.: – Na razie mam plany krótko-wzroczne. Zamierzam dokończyć moją pracę roczną na uczelni, zacząć kolejną i zaliczyć ten rok akademicki...

Sz. W.: – Nie przymierzasz się do napisania następnej książki? A może myślisz o jakimś innym zajęciu?

A. T.: – Jestem ostrożna w zbyt skrupulatnym planowaniu. Dużo ważnych rzeczy przytrafiło mi się w życiu przez przypadek. Poza tym mam chyba syndrom „robienia czegoś przy okazji”. Pisanie jest właśnie „czymś takim przy okazji”, skupiam się na studiowaniu. Ale to też nie jest jedyna treść mojego życia...

Sz. W.: – Czy w rozmowach i wywiadach dziennikarze często nawiązują do twojego taty?

A. T.: – Nie. W sumie stanowiło to dla mnie zaskoczenie, bo może nie obawiałam się tego, ale byłam przygotowana, że padną pytania w rodzaju „Jak to jest być córką...”. Tuż po wydaniu książki mieliśmy mały maraton medialny, kilkanaście wywiadów i okazało się, że w żadnym nikt nie spytał: „Co na to tata?”

Sz. W.: – Spytałem o to, bo zwykle bywa tak, że dzieci znanych rodziców odcinają się od nich. Ale widzę, że u ciebie tak nie jest...

A. T.: – Nie, absolutnie. Jestem bardzo dumna z mojego taty, podziwiam go i szanuję to, co robi. Pewnie gdybyśmy działali w tej samej branży, nie dałoby się uniknąć porównań i mogłyby być one dla mnie bolesne...

Sz. W.: – Młodym ludziom jest dziś ciężko cokolwiek wydać. A ty nie od-

nosisz wrażenia, że pomogło ci jednak znane nazwisko?

A. T.: – Na pewno miałam łatwiej, bo nie pisałam tej książki sama, tylko trafiłam na Michała, który ma już duże doświadczenie w tej dziedzinie i wyrobioną markę. Poza tym mieliśmy szczęście. Dzięki przychylności wydawnictwa „Prószyński i spółka” książka ukazała się błyskawicznie. Wiem, że są konkursy dla młodych talentów i na pewno jak ktoś jest dobry, to się wybije. Ja weszłam do tego świata trochę inną furta.

Sz. W.: – Czyli przyznasz, że było ci jednak łatwiej...

A. T.: – Nie wiem, bo nigdy nie próbowałam niczego wydawać pod innym nazwiskiem czy inną drogą...

Sz. W.: – Jak to napisał pewien dziennikarz w „Głosie Pomorza” na temat waszej książki, „Tak czy siak zabawa jest przednia”. I ja to potwierdzam. ■

Odszedł, ale w pamięci Polaków pozostanie na zawsze

To zawód wyniszczający **– mówił Ryszard Kapuściński**

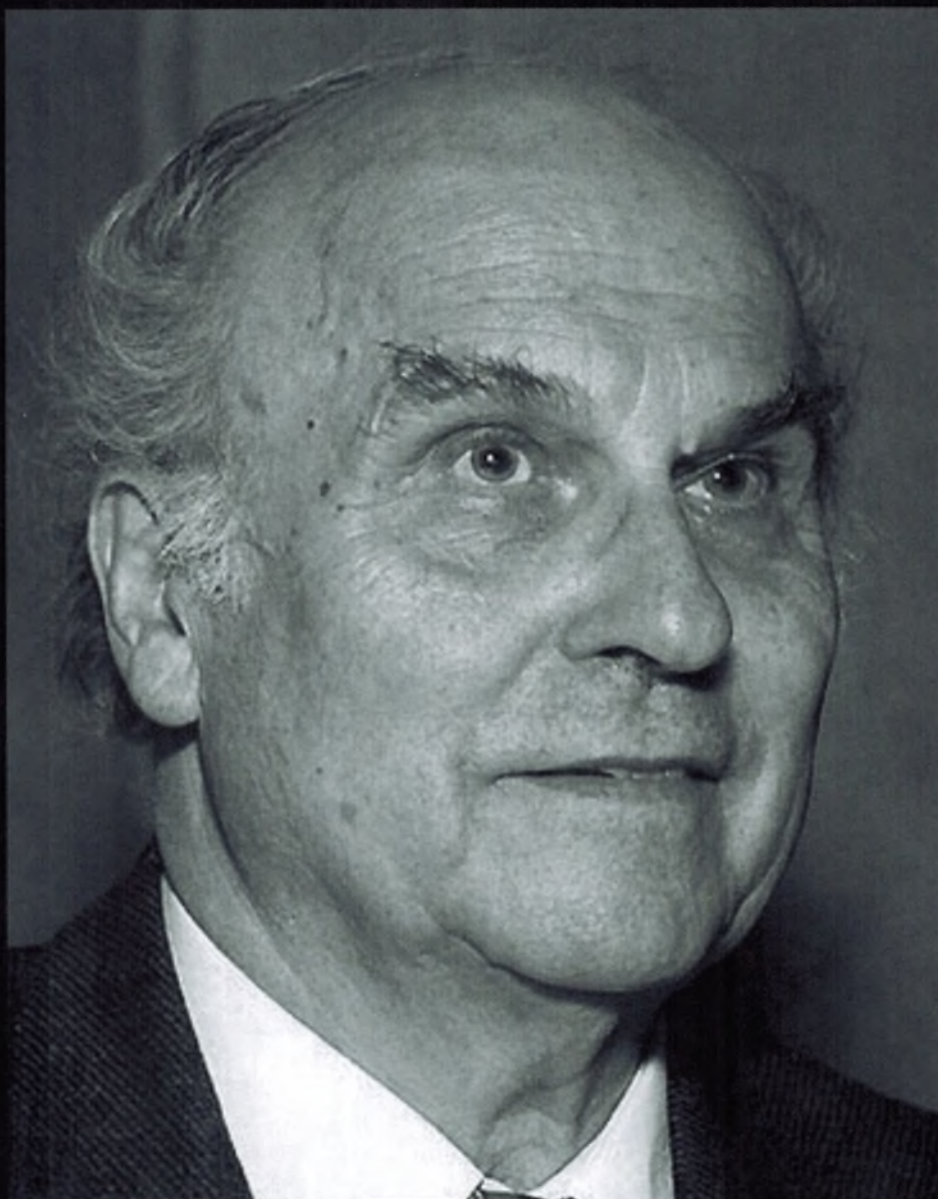


foto: www.kapuscinski.info

Karolina Świerad

Cesarz polskiego reportażu. Świadek rewolucji i wojen. Dziennikarz, poeta, publicysta i fotografik. Autor znanych na całym świecie „Cesarza”, „Hebanu”, „Imperium”, „Podróży z Herodotem”. Jego nazwisko pojawiało się co roku wśród kandydatów nominowanych do Nagrody Nobla.

Oto wspomnienie o RYSZARDZIE KAPUŚCIŃSKIM. ►

„Kiedy czasem pytają mnie studenci, co trzeba zrobić, żeby zostać korespondentem zagranicznym, to mówię, że trzeba spełniać osiem warunków jednocześnie: zdrowie fizyczne, odporność psychiczną, ciekawość świata, znajomość języków, umiejętność podróżowania, bo to jest przecież sztuka, otwartość wobec innych ludzi, i trzeba mieć pasję, a przede wszystkim starać się myśleć” – tak podczas wywiadu w serwisie „Reporterzy.info” zdefiniował swój zawód Ryszard Kapuściński. „Jest to zawód wyniszczający. Wielu ludzi uprawia go tylko przez pewien okres życia, bo nie wytrzymują.”.

On jednak wytrzymał. Poza ogromną dociekliwością oraz życzliwością dziennikarskim uporem w dążeniu do celu fascynowały go zawsze nie tylko obce światy i ludzie, ale też książki i podróże w dalekie kraje. W tę tematykę wchodził najpierw przez bramy literatury. Każda jego podróż opatrzona była dokładnym podręcznikowym przygotowaniem oraz rozmowami z ludźmi. Sprawdził się i pozostawił nam po sobie wzór drogi do spełnienia i sukcesu.

Dzieciństwo

Urodził się 4 marca 1932 r. w Pińsku na Polesiu (dzisiejsza Białoruś). Wychowany był w rodzinie nauczycielskiej u boku rodziców, którzy uczyli w tamtejszej wsi. Miał siedem lat, gdy wybuchła wojna. Dobrze pamiętał sceny z tamtego okresu, kiedy to wypatrywał na niebie srebrno świecących punktów, a potem, gdy nagle widział wylatujące w górę gigantyczne fontanny ziemi, strzelające na wysokość drzew. Jego ojciec w 1939 r. walczył w stopniu podporucznika w Armii „Polesie”. Matka z Ryszardem i jego siostrą uciekli spod okupacji sowieckiej. Potem rodzina zamieszkała w Sierakowie, w Puszczy Kampinoskiej, nieopodal wsi Palmiry, miejsca, gdzie Niemcy dokonywali masowych egzekucji, głównie na więźniach Pawiaka.



Lata szkolne

Uczęszczał do Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Maturę zdał w 1950 r. Już wtedy pisywał wiersze. Zadebiutował w wieku 17 lat w tygodniku „Dziś i jutro”. Dzięki poetyckim publikacjom trafili do niego redaktorzy tworzącego się właśnie dziennika „Sztandar Młodych”. Najpierw, po maturze, został gońcem. Wiktor Woroszyński, szef działu kultury, wysłał go po wypowiedzi do ludzi pióra. Tak Kapuściński poznał Marię Dąbrowską, Zofię Nałkowską, Leopolda Staffa i Juliana Tuwima.

Lata 1952-1956 to czas jego dalszej edukacji na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Na drugim roku historii zaczął pracę asystenta i prowadził zajęcia na III roku filozofii. W roku obrony otrzymał swoją pierwszą nagrodę Złoty Krzyż Zasługi – za reportaż „To też jest prawda o Nowej Hucie”, opisujący trudne warunki życia robotników na budowie kombinatu. W tym też roku Kapuściński odbył swoją pierwszą podróż do Indii, odwiedził także Afganistan i Pakistan. Rok później pojechał do Japonii i Chin.

Odszedł ze „Sztandaru Młodych” w 1958 r., kiedy redakcja stanęła w obrońce krytycznego, rewizjonistycznego wobec władzy tygodnika „Po prostu.”



Pierwsze reporterskie kroki

Następnych dziesięć miesięcy spędził w redakcji Polskiej Agencji Prasowej, potem Dariusz Fikus zaproponował mu etat w „Polityce”. Tygodnik ten zapewnił mu prawdziwy dziennikarski warsztat pracy. Kapuściński dużo podróżował i pisał. Jego reportaże krajowe dały mu wielką popularność. Prawdziwą sławę przyniosły mu jednak relacje z ogarniętego wojną domową Konga w 1958 r.

Podróż do Afryki prawdziwie rozbudziła zamiłowania reporterskie Kapuścińskiego, pisarz zaczął rozumieć, że to, co szczególnie go interesuje, to „zafascynowanie krajami budzącymi się do życia, nowymi kontynentami, gdzie wszystko dopiero staje się, gdzie nędza i głód splatają się z nadziejami na lepsze jutro”.

Najlepsze reportaże Kapuścińskiego z „Polityki” ukazały się w książce „Busz po polsku” (1962). Krytycy pisali, że znów – tak jak w Nowej Hucie – zajrzał pod powierzchnię zdarzeń, tam gdzie niechętnie zaglądali dziennikarze, zachłystujący się tempem socjalistycznych przemian.



Życie na linii frontu

W 1962 r. wrócił do PAP-u. To właśnie z ramienia Polskiej Agencji Prasowej został wysłany aż na sześć lat do Afryki. Pobyt na „czarnym lądzie” był okresem szczególnie intensywnej i ciężkiej pracy reporterskiej. O narodzinach Trzeciego

Świata pisał w „Czarnych gwiazdach” (1963) i „Gdyby cała Afryka” (1969). Od tego czasu o książkach Kapuścińskiego recenzenci napiszą więcej słów, niż zawierają te książki.

Do Warszawy powrócił w 1967 r. Zmusiła go do tego gruźlica i malaryczne zapalenie opon mózgowych. Jednak niedługo po tym wyjechał na trzymiesięczną podróż do siedmiu azjatyckich i zakaukaskich republik Związku Radzieckiego. Efektem wyjazdu jest książka „Kirgiz schodzi z konia” (1968).

W tym samym roku wyjechał także na pięć lat do Ameryki Południowej i został kolejno stałym korespondentem w Chile, Brazylii i Meksyku. Tam, podobnie jak w Afryce, był świadkiem krwawych zamieszek i zamachów stanu.

W swojej karierze reportera Ryszard Kapuściński cztery razy miał być rozstrzelany – żołnierze, których spotykał, podejrzewali, że działa na korzyść wroga. Kiedyś uniknął śmierci tylko dzięki temu, że żołnierz, który miał go zastrzelić, był tak pijany, iż nie mógł sobie poradzić z rewolwerem. Zdarzyło mu się też być w oddziale, który miał dokonać egzekucji na innych.

Zapytany o to, jak się czuje człowiek, który ma zostać rozstrzelany, Kapuściński odpowiedział: *„Raptem z mięśni odpływają wszystkie siły, brakuje energii nawet na podniesienie krzyku, walenie pięściami w ścianę. Nie, ciało nie jest już nasze, jest to obca materia, którą musimy jeszcze dźwigać, zanim ktoś uwolni nas od męczącego ciężaru. Robi się duszno i tę duszność odczuwa się najdotkliwiej, niejako najbardziej namacalnie”*.

Wtedy powstały takie dzieła jak „Chrystus z karabinem na ramieniu” (1975) i „Wojna futbolowa” (1978).

„Cesarz reportażu”

W 1974 r. rozpoczął Ryszard Kapuściński pracę w tygodniku „Kultura” (był w tej redakcji do 1981 r.) i od razu pojechał do Afryki. W Angoli, która odzyskała niepodległość, rozpoczęła się wojna domowa. Jej przebieg opisał w książce „Jeszcze dzień życia” (1976). Zredukował w niej fakty do roli tła, na pierwszy plan wysuwając własne doznania.

Szczególnie ważne książki związane z tym okresem to „Cesarz” (1978) i „Szachinszach” (1982). W książkach

tych Kapuściński zaskoczył wszystkich sposobem przedstawienia reportażu. Łącząc cechy reportażu z powieścią, dał się poznać jako doskonały pisarz. Książki te odbiły się światowym echem, przynosząc laury uznania dla pióra Kapuścińskiego. Szczególnie głośno mówiono o „Cesarzu”, książce ujawniającej kulisy dworu cesarza Hejle Sellasje. Postać cesarza obnaża powszechne mechanizmy porządku totalitarnego. Wysoki poziom książki odzwierciedlony został w trzydziestu przekładach językowych (m.in. na japoński i perski). Adaptacja teatralna z 1979 r. wywołała zachwyt w Toronto, Amsterdamie, Oslo, Budapeszcie.

Rok 1989 był początkiem podróży po upadającym radzieckim imperium. Powstało wtedy kolejne dzieło, książka będąca relacją z podróży po byłych południowych republikach ZSRR. Książka jest opisem zmian, jakie zaszły po upadku ZSRR. Kapuściński porównuje to z obrazem republik z 1968 r. „Imperium” (1993) doskonale opisuje współczesną Rosję. Przedstawia Gruzję, Afganistan, Kirgizję i inne republiki południowe, jako kraje o bogatej kulturze i tradycji. O książce wypowiadał się w swym „Dzienniku pisanym nocą” sam Gustaw Herling-Grudziński: *„Tak, książka jest świetna. Powinna być włączona do obowiązkowych lektur szkolnych”*.

W 1990 r. ukazał się pierwszy tom „Lapidarium” – zbiór drobnych refleksji z przeczytanych lektur i podróży. Ostatnie tomy cyklu coraz częściej przestają być osobistymi uwagami, a stają się refleksją nad globalną naturą świata („Lapidarium II” – 1995, III – 1997, IV – 2000). Jest to gatunek z pogranicza reportażu, eseju i pamiętnika, zawiera krótkie, kilkuakapitowe zapiski.

W 1998 r. powstał „Heban”, syntetyczny esej o Afryce. Przygotowując się do pisania książki, zgromadził w domu 260 pozycji na temat tego kontynentu. Chciał, aby książka ta uporządkowała wiedzę człowieka Zachodu o „czarnym lądzie”. Już w 1996 r., gdy świat został zaskoczony konfliktem między Tutsi i Hutu, ubolewał w rozmowie z dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, że reporterskie relacje z Afryki są wyrwane z kontekstu i przez to zupełnie niezrozumiałe.

W kolejnych latach ukazują się takie dzieła jak: „Autoportret reportera”

(2003), „Podróże z Herodotem” (2004), „Prawa natury” „Ten Inny” (2006).

Mistrzowskie wyróżnienia

Pierwszą nagrodą był Złoty Krzyż Zasługi. Jedne z najciekawszych (gdyż niesposób umieścić wszystkich) to Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Międzynarodowa Nagroda Dziennikarska, Nagroda Ministra Spraw Zagranicznych, Nagroda Fundacji Turzańskich. W 1983 r. „Cesarz” zostaje książką roku według *Sunday Times*.

W 1996 r. pisarz otrzymał Nagrodę im. Jana Parandowskiego. W 1999 r. statuetkę „Ikara” za książkę „Heban” oraz został wybrany „Dziennikarzem wieku” przez swych kolegów w plebiscycie miesięcznika *Press*. Laureat nagrody im. Dariusza Fikusa za rok 2004. Doktor honoris causa Uniwersytetu Śląskiego (17 października 1997 r.), Uniwersytetu Wrocławskiego (2001 r.), Uniwersytetu Jagiellońskiego (2004 r.) i Gdańskiego (29 stycznia 2004 r.). W 2005 r. uhonorowano pisarza nagrodą literacką „Nike” czytelników za „Podróże z Herodotem”.

Łącznie Ryszard Kapuściński otrzymał ponad 40 nagród i wyróżnień. Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Ponadto w 2005 r. powszechnie wymieniano go jako jednego z najścisłego grona faworytów do uzyskania Nagrody Nobla z dziedziny literatury.

„Przetrwaj ten, kto stworzył swój świat”... (Ryszard Kapuściński, „Notes”)

Zmarł w szpitalu Akademii Medycznej w Warszawie 23 stycznia 2007 r. Miał 74 lata. Pisarz od dawna przebywał w szpitalu. Po przejściu poważnej operacji układu pokarmowego we wtorek nad ranem miał rozległy zawał serca. Lekarzom nie udało się go uratować. Pochowany został na cmentarzu komunalnym, na Powązkach w Alei Profesorskiej. O śmierci autora rozpisywały się gazety na całym świecie.

Odszedł, ale w pamięci pozostanie na zawsze. Jego duch tkwi w książkach, które są przykładem jego ogromnego talentu i osobowości. Jako Polacy jesteśmy dumni z osiągnięć i życiorysu Ryszarda Kapuścińskiego. Niech spoczywa w spokoju. ■

Ledwo rozpoczął się rok 2007,
a do kin zdążyło już trafić kilka polskich filmów

Sale pełne widzów

Joanna Mysińska

Miałam ostatnio okazję zobaczyć cztery polskie filmy: „Dlaczego nie”, „Ryś”, „Świadek koronny” oraz „Testosteron”. Czytając recenzje, spotykałam się zarówno z dobrymi, jak i z bardzo negatywnymi słowami krytyki. Nie zmienia to jednak faktu, że zapewne większość z nas niezmiennie cieszy się z tego, iż mamy na rynku filmowym taką liczbę rodzimych propozycji.

675 tys. widzów po dwóch tygodniach pokazywania „Testosteronu” (pierwszej rodzimej komedii hormonalnej) w polskich kinach to wynik, jak na nasze warunki,

rekordowy. Dla porównania „Świadek koronny” przyciągnął w tym czasie 567 tys. widzów, a „Ryś” 544 tys. widzów.

Liczyby te ukazują nam również, jakie gatunki filmowe są chętnie oglądane przez polską widownię. To komedie oraz filmy akcji, często gangsterskie. W ciągu najbliższego miesiąca planowane są premiery następnych produkcji: „Szkłane usta”, „Doskonałe popołudnie” z Jerzym Stuhrem, „Parę osób, mały czas” z Krystyną Jandą i „Wieża” z Anną Dymną. Wszystkie te filmy są dramataми.

Przypomnijmy, że polskie „Orły”, odpowiedniki amerykańskich „Oscar-

rów”, przypadły w tym roku filmom: „Plac Zbawiciela” (4 statuetki, w tym za najlepszy film), „Jasminum” (7 statetek), „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” (2 statuetki) oraz „Statyści” (1 statuetka). Za najlepszy film europejski uznano dzieło Pedra Almodovara – „Volver”.

Wszyscy czekamy na to, że kiedyś polski film otrzyma „Oscara” albo będzie chociaż do tej prestiżowej nagrody nominowany. Wtedy byłibyśmy naprawdę dumni z rodzimych produkcji. Jednak mimo braku światowego rozgłosu to, co obecnie możemy oglądać w kinach, zasługuje chyba na zainteresowanie. ■

Film „Wielka cisza” należy do tego typu dzieł, przy których trzeba przebrnąć przez całość, aby zrozumieć sens

„Uwiodłeś mnie, Panie, a ja dałem się uwieść”

Roksana Rumińska

Zanim się pójdzie na film *Wielka cisza*, trzeba wiedzieć co nieco o jego realizacji. Jest to niezbędne, aby choć w części zrozumieć, o co chodzi, i nie wyjść po 15 minutach.

Po pierwsze autor filmu, Niemiec Philip Groninq, czekał blisko 15 lat na zgodę opata klasztoru kartuzów w Grand Chateaux w Alpach Francuskich, żeby móc z kamerą przekroczyć jego próg. Jest to jeden z najbardziej surowych zakonów pod względem rządzących w nim reguł. Mnisi są całkowicie odseparowani od świata zewnętrznego. Swoją żywot prowadzą w milczeniu, całe dni spędzając na medytacji, studiowaniu Pisma Świętego, pracy czy wspólnej modlitwie.

Po drugie reżyser, kręcąc ten film, przebywał sześć miesięcy w owym klasztorze. Realizował go zupełnie sam... bez ekipy filmowej i używania zbędnego oświetlenia. Film pozbawiony jest komentarzy i muzyki, co było prośbą mnichów. Pada w nim niewiele słów, a całość trwa, bagatela... około trzech godzin.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że idzie się na tak długi seans bez dialogów i bez muzyki. Przyznam, że oglądanie takiego dzieła nie należy do największych przyjemności. Siedzieć tyle czasu w fotelu i patrzeć jedynie na przewijające się obrazy? Film nie ma ani wciągającej fabuły (ani fabuły w ogóle), ani efektów specjalnych. Obraz też nie zawsze jest wyraźny. No cóż, należy się wykazać cierpliwością..., ogromną cierpliwością, i poniekąd dojrzałością. Chciałoby się rzec: trzeba mieć wiele zbędnego czasu, z którym nie bardzo się wie, co zrobić.

Film *Wielka cisza* należy do tego typu dzieł, przy których trzeba, czasami z trudem, przebrnąć przez całość, aby zrozumieć sens. Ocenic jest mi go trudno, bo przyznam, że trochę się wynudziłam i mam mieszane uczucia. Jednocześnie nie chciałabym ani spłynąć jego sensu, ani doszukiwać się go nad wyraz głęboko.

Najczęściej czytając recenzje krytyków, czy to na temat książki, czy filmu, i konfrontując je później z przeczytaną

książką czy obejrzanym filmem, dochodzę do wniosku, że albo nadinterpretują oni treści z nich płynące, albo je spływają. Albo wydaje im się tym panom (paniom), że swoją błyskotliwością i intelektem przeszywają wzdłuż i wszerz sens zawarty w przekazie, wydobywając najgłębiej zakotwiczone przesłanie autora, podczas gdy owe przesłanie jest widoczne gołym okiem i piękne oraz prawdziwe w swej prostocie. Albo wręcz przeciwnie: spływają sens, podczas gdy tkwi on o wiele głębiej.

Ja nie czuję się na tyle mądra, żeby interpretować ów film, ani na tyle niedojrzała, aby to robić. Może sens, nawiązując do tytułu, tkwi poza słowami? Warto przytoczyć sentencję, która podczas projekcji pojawia się na ekranie kilka razy: „Uwiodłeś mnie, Panie, a ja dałem się uwieść”.

Zaciekawianym proponuję obejrzenie filmu *Wielka cisza* i samemu sprawdzić, czy Was uwiodł? Aha... i dodam jeszcze, iż film jest wyświetlany jedynie w dwóch miastach Polski, m.in. w Krakowie. ■



Przyrządzanie drinków jest prawdziwą sztuką

Barmaństwo spod znaku *flair*



Są różne puby, kluby, różni barmani i różne sztuki barmańskie. Na co dzień spotykamy się zazwyczaj z tzw. barmaństwem klasycznym. Niektórzy twierdzą, że w zależności od miejsca ma ono swe ciemne strony. Ale jest również barmaństwo *flair*...

Szymon „SZYMON:)” Wróbel

Praca barmana wydaje się prosta i przyjemna. Przychodzi się do lokalu, spędza w nim kilka godzin, rozmawiając w miłej atmosferze ze znajomymi, nalewając piwo albo przygotowując drinki. Zdarza się jednak, że barmanom, lub lepiej – młodym ludziom dorabiającym za barem, zwyczajnie nie chce się popracować nad drinkiem. Tłumaczą wtedy, że brakuje pewnych składników, nie ma odpowiednich szklanek albo też drinki są zbyt skomplikowane, żeby je w kilka minut sporządzić.

Marek, który pracował w jednym z pubów na Kazimierzu, opowiada:

- Jak przychodził klient i zamawiał zbyt wyszukany drink, po prostu mówiło się, że... właśnie się skończył. Wiele pubów jest do dziś słabo zaopatrzonych w sprzęt, a przy większym ruchu brakuje tam nawet zwykłych szklanek...

Barmaństwo ma swe odmiany. Jest na przykład tzw. barmaństwo *flair*. Definicja tej sztuki brzmi tak: 'szybkość, zręczność, zwinność, czyli wykonywanie ewolucji barmańskich'. Zazwyczaj uprawiają je barmani z większym stażem, po zaliczeniu wielu kursów, uczestniczący w zawodach, tzw. niezależnej lidze *flair*, z udziałem także uczestników z zagranicy. Składają się na nią cztery konkursy, w których każdy z barmanów, poprzez zaprezentowane sztuczki, musi udowodnić, że należy mu się miejsce w czołówce polskich barmanów nieklasycznych (stąd podział na barmaństwo *flair* i barmaństwo klasyczne).

Praca barmanów *flair* nie jest łatwa, zwłaszcza że cały czas trzeba być na bieżąco z nowymi trendami w drinkach i pracować nad sztuczkami do pokazów czy konkursów. Jak mówi finalista ligi *flair* i wielokrotny uczestnik mistrzostw

Polski Marcin Dąbek: – *Sztuka „flair” to trening, trening i jeszcze raz trening, żmudne godziny pracy w piwnicy, na sali lub w plenerze, jeśli pogoda pozwoli. Wiadomo, to jest jak ze sportem: jeśli się chce osiągnąć sukces, to trzeba na to poświęcić kilka godzin dziennie.*

Ale efekty owych treningów widać potem gołym okiem. Miło jest przyjść do lokalu i napić się drinka zrobionego przez prawdziwego mistrza w tej dziedzinie. Już sam widok, jak on to przygotowuje, każdego potrafi wprawić w osłupienie.

A jakiego drinka można by uznać za studenckiego? Marcin twierdzi, że to wódka sour, czyli tzw. barmański drink, który zawiera 40 procent alkoholu, sok ze świeżo wyciśniętych cytryn i syrop cukrowy. To napój bardzo smaczny i orzeźwiający, a przy tym niedrogi i – co ważne – na drugi dzień... nie boli głowa. ■



Do boju, kobiety

Partia Kobiet rozwija się w szybkim tempie, co daje nadzieje i motywuje do działania miliony Polek

Maria Kroczek

Jesteśmy młodymi kobietami, jeszcze studentkami, ale już niedługo zaczniemy karierę zawodową i nowe, całkiem samodzielne życie.

Część z nas patrzy jednak w przyszłość z niepokojem, ponieważ wiemy, że spełnienie zawodowe dla kobiet wiąże się z pewnymi wyrzeczeniami. Ale nie musimy się już martwić; nareszcie stanie ktoś w naszej obronie. Ktoś, kto doskonale nas zna i rozumie. Ktoś, kto będzie walczył o nasze prawa w każdej dziedzinie. To właśnie dla nas powstała Partia Kobiet.

Liderką nowej formacji politycznej jest Manuela Gretkowska, pisarka i felietonistka. Jej manifest opublikowany w „Przekroju” zapoczątkował ruch „Polska jest kobietą” oraz przyczynił się do powstania Partii Kobiet, która już ma

25 regionów i kilka oddziałów zagranicą w Berlinie, Londynie, Irlandii i USA. Najważniejszymi postulatami partii są: wyrównanie płac kobiet i mężczyzn, opieka nad samotnymi matkami, przywrócenie funduszu alimentacyjnego, opieka medyczna nad kobietami szczególnie w okresie ciąży, realna polityka prorodzinna.

Partie Kobiet wspierają znane Polki, m.in. Joanna Brodzik, Izabela Filipiak, Anna Maria Jopek, Kayah, Karolina Korwin-Piotrowska, Magda Mołek, Justyna Pochanke, Magda Stuzińska, Grażyna Szapołowska, Beata Tyszkiewicz. Mimo że na listach wyborczych, zgodnie ze statusem, 90 procent miejsc przypadnie kobietom, to panów nie brakuje. Jednym z założycieli partii

jest Wiktor Osiatyński, doktor socjologii, doktor hab. nauk prawnych, były doradca komisji konstytucyjnych Senatu RP.

Partia Kobiet rozwija się w szybkim tempie, co daje nadzieje i motywuje do działania miliony Polek. Manuela Gretkowska pisze na stronie internetowej partii:

Mam nadzieję, że udowodnimy, w jaki sposób kobiety ze swoimi żądaniami mogą rozwinąć i unowocześnić Polskę. Podobnie jak w innych krajach, gdzie ich głos był nie tylko wysłuchany, ale wzięty pod uwagę przy tworzeniu i realizacji reform.

Oby te słowa się spełniły. Tego życzą założycielom partii, sobie, wszystkim kobietom i Wam, studentki!

Nasz kraj pustoszeje, młodzi uciekają, a ja chcę do nich dołączyć!

I co z tą Polską?

Brigide

Studiuje, pracuję na swoje utrzymanie, angażuję się w różnego rodzaju zajęcia, otrzymuję stypendium, a wszystko po to, aby mieć jak najlepszy papier i jak najlepszą pracę. Problem polega tylko na tym, że studiować tutaj, owszem, chcę, ale pracować – absolutnie nie.

Jak wiadomo, takich jak ja jest więcej. Polska pustoszeje, młodzi uciekają, a ja chcę do nich dołączyć. I mimo że mam świadomość tego, że powinnam tu zostać i spróbować, to tak naprawdę wcale mi na tym nie zależy. Nie, nie chodzi o to, że nie ma tutaj żadnych możliwości, bo takie zawsze by się znalazły, ale o to, że jak dotąd nikt tak naprawdę nie zachęcił mnie do tego, abym miała zostać w kraju.

Realia polskie są jakie są, niektórzy – tak jak wszędzie – mają większe szanse, a inni mniejsze, zależy też, po jakim jest się kierunku. Ja kończę studia humanistyczne, co już na samym początku wpisuje mnie na listę „oczekujących na pracę”.

Do tego nieciekawa sytuacja polityczna... Osoby zasiadające w rządzie wcale nie ogłaszają wszem wobec, żeby się coś miało zmienić w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat.

Moją przyszłość widzę tak: ukończenie studiów i wyjazd za granicę w poszukiwaniu lepszych warunków. Nie mówię, że na zawsze, ale przynajmniej na jakiś czas, by zdobyć doświad-

czenie i dowiedzieć swoich możliwości, dzięki czemu będę miała większe szanse na uzyskanie pracy, może i w Polsce, gdyż najprawdopodobniej tutaj wrócę.

Na razie nie widzę dla siebie miejsca w polskich realiach, i to mnie smuci. Do tego zniechęca mnie fakt, że płaca na samym początku to zazwyczaj 1200 zł i chociaż wiem, że to norma, to jednak przeraża mnie myśl, iż nie dam rady.

Początki samodzielnego życia w Polsce są trudne, no więc dlaczego nie spróbować czegoś innego? Wierzę, że tego rodzaju migracja musi potrwać jakiś czas, aby Polska wyszła na prostą. Nie jesteśmy pierwsi ani ostatni. ■

Życie nie polega na tym, żeby iść na łatwiznę...

Polska , Polska, ja zostaję

Phenomena

Studiuje, pracuję, idziemi całkiem dobrze i nie zamierzam wyjeżdżać z Polski, chociaż wielu moich znajomych tak właśnie chce zrobić zaraz po ukończeniu studiów. Ja jestem innego zdania. Tuż po uzyskaniu dyplomu chcę rozpocząć pracę w Polsce, mimo że zdaję sobie sprawę z realiów, jakie panują w naszym kraju. Jednak to mnie wcale nie zniechęca. Urodziłam się tutaj, tu jest moja rodzina, przyjaciele, tutaj studiuje i nie zamierzam się stąd ruszać choćby nie wiem co. Wiem, że na początku nie będzie łatwo, ale nie tylko

mnie. W Polsce są tysiące osób takich jak ja. Najważniejsze to nie poddawać się i dążyć do celu.

Wielu ludzi wyjeżdża za granicę w okresie wakacyjnym, żeby zarobić pieniądze na utrzymanie w Polsce. Ja też tak zrobiłam i w przeciwieństwie do innych dalej uważam, że nie ma jak w domu. Tak jak inni poczułam, co to znaczy zarabiać jako student 42 zł na godzinę, i wcale mnie to nie zniechęciło do pozostania we własnym kraju. Nie chcę pracować na PKB kraju mi obcego i nie czuć się jak u siebie. ■

Nie chcę być daleko od rodziny i wszystkiego, co jest dla mnie ważne.

Życie nie polega na tym, żeby iść na łatwiznę; trzeba walczyć o swoje, tym bardziej że jestem zdania, iż w Polsce otwiera się przede mną coraz więcej możliwości chociażby właśnie dlatego, że nasz kraj pustoszeje i nowych miejsc pracy przybywa.

Nowe możliwości, determinacja i ciężka praca, która z pewnością się opłaca... Chcę być tą, która pozostanie, a nie zrezygnuje. ■

3,21,  STA-1

Radiowa alternatywa



www.radio.frycz.com

